

Kryzys interwencjonizmu

15 sierpnia 2019

Skutki interwencjonizmu

Metody interwencjonistyczne, które od kilkudziesięciu lat stosują wszystkie rządy kapitalistycznego Zachodu, przyniosły wszystkie skutki przewidywane przez ekonomistów: wojny i wojny domowe, bezwzględny ucisk mas przez kliki skupione wokół samozwańczych dyktatorów, depresje gospodarcze, masowe bezrobocie, konsumpcję kapitału, klęski głodu.



Jednak przyczyną kryzysu interwencjonizmu nie były te katastrofalne wydarzenia. Interwencjonistyczni doktrynerzy i ich zwolennicy przypisują te wszystkie niepożądane skutki cechom właściwym kapitalizmowi. Z ich punktu widzenia klęski te ewidentnie dowodzą konieczności nasilenia interwencjonizmu. Fatalne skutki metod interwencjonizmu bynajmniej nie wpływają na zmniejszenie popularności tej doktryny. Skutki te interpretuje się w taki sposób, by nie osłabiać jej prestiżu, lecz jeszcze go podbudować. Błędnej teorii ekonomicznej nie może obalić na podstawie wiedzy historycznej, dlatego też interwencjonistyczni propagandyści mogli nadal głosić swoje

teorie, mimo spustoszenia, którego dokonali.

Nadchodzi jednak zmierzch epoki interwencjonizmu. Interwencjonizm wyczerpał swoje możliwości i musi zniknąć.

Wyczerpanie funduszu rezerwowego

Podstawowym założeniem polityki interwencjonizmu jest to, że wyższe dochody i majątek zamożniejszej części społeczeństwa to fundusz, który może być wykorzystywany dowolnie w celu poprawy warunków życia jego uboższych warstw. Istotą polityki interwencjonizmu jest zabieranie jednemu i dawanie drugiemu, czyli konfiskata i dystrybucja. Każdą metodę usprawiedliwia się twierdzeniem, że słuszne jest ujmowanie bogatym, by dać biednym.

W sferze finansów publicznych najbardziej charakterystycznym przejawem tej doktryny jest progresywne opodatkowanie dochodów. Opodatkować bogatych, by uzyskane w ten sposób pieniądze przeznaczyć na poprawę warunków życia biednych, to zasada, na której opiera się dzisiaj budżet. W przemyśle zaleca się skrócenie godzin pracy, podniesienie płac i wprowadzenie mnóstwa innych reguł, które mają obciążać pracodawcę, przynosząc korzyści pracownikowi. Wszystkie problemy, przed którymi stoi rząd i społeczeństwo, są rozwiązywane wyłącznie z punktu widzenia tej zasady.

Dobłą ilustracją tego zagadnienia są metody stosowane w zarządzaniu przedsiębiorstwami państwowymi i komunalnymi. Przedsiębiorstwa takie bardzo często przynoszą straty finansowe. W ich bilansach regularnie pojawia się saldo ujemne, co jest równoznaczne z obciążeniem skarbu państwa lub finansów miasta. Bezcelowe byłoby analizowanie tego, czy przyczyną deficytu jest notoryczna nieefektywność publicznego zarządu przedsiębiorstw, czy – przynajmniej do pewnego stopnia – nieodpowiednie ceny, po których sprzedaje się konsumentom ich produkty bądź usługi. Istotne jest to, że deficyt muszą pokrywać podatnicy. Interwencjoniści całkowicie aprobują ten

system. Zdecydowanie odrzucają dwa inne możliwe rozwiązania, czyli sprzedaż firm prywatnym przedsiębiorcom lub podniesienie cen do takiego poziomu, który zapobiegałby powstawaniu deficytu. Pierwsze rozwiązanie jest według nich jawnie reakcyjne, ponieważ uważają, że historia zmierza nieuchronnie ku coraz większej socjalizacji. Drugie uważa się za „antyspołeczne”, gdyż nakłada większe ciężary na konsumujące masy. Sprawiedliwsze jest, żeby ciężary te ponosili podatnicy, to znaczy bogaci obywatele. Ich zdolność płaćnicza przewyższa zdolność płaćniczą zwykłych ludzi, którzy jeżdżą państwowymi pociągami oraz komunalnym metrem, trolejbusami i autobusami. Interwencjoniści utrzymują, że żądanie, by takie przedsiębiorstwa użyteczności publicznej utrzymywały się same, to relikw przestarzałych idei ortodoksyjnych teorii finansów. Równie dobrze można by dążyć do tego, żeby drogi i szkoły państwowe były niezależne materialnie.

Nie ma potrzeby dyskutować z obrońcami tej deficytowej polityki. To oczywiste, że posługiwanie się zasadą zdolności płaćniczej jest możliwe dopóty, dopóki istnieją dochody i fortuny, od których można ściągać podatki. Nie można będzie jej stosować, gdy owe fundusze zostaną wyczerpane przez podatki i inne metody interwencjonistyczne.

Taki stan rzeczy panuje dziś w większości krajów europejskich. Stany Zjednoczone nie zaszły jeszcze tak daleko. Jeśli jednak obecny kierunek w ich polityce gospodarczej wkrótce nie zmieni się radykalnie, to w ciągu kilku lat kraj ten znajdzie się w takim samym położeniu.

Dla uproszczenia wyводу możemy pominąć wszystkie inne konsekwencje całkowitego zwycięstwa zasady zdolności płaćniczej i skoncentrować się na jej finansowych aspektach.

Interwencjonista opowiadający się za zwiększeniem wydatków publicznych nie zauważa, że dostępne fundusze są ograniczone. Nie rozumie, że wzrost wydatków w jednej dziedzinie musi pociągać za sobą ich ograniczenie w innych. Według niego

pieniędzy jest pełno. Można do woli czerpać z dochodów i majątku bogatych. Proponując większe nakłady na szkoły, koncentruje się wyłącznie na tym, że dobrze byłoby wydawać więcej na edukację. Nie zadaje sobie trudu, by wykazać, że zwiększenie środków budżetowych przeznaczanych na szkoły jest bardziej celowe niż ich zwiększenie w innym resorcie, na przykład resorcie zdrowia. Nigdy nie zastanawia się nad tym, że można by przytoczyć poważne argumenty za ograniczeniem wydatków publicznych i zmniejszeniem obciążeń podatkowych. Zwolennicy cięć budżetowych to w jego oczach po prostu obrońcy rażąco niesprawiedliwych interesów klasowych bogaczy.

Obecne stawki podatku dochodowego i spadkowego powodują, że fundusz rezerwowy, za pomocą którego interwencjoniści chcą pokrywać wszystkie wydatki publiczne, szybko topnieje. W większości krajów europejskich już właściwie go nie ma. Ostatnie podwyżki stawek podatkowych w Stanach Zjednoczonych przyniosły nieznaczny wzrost dochodów budżetu w porównaniu z tym, który można by osiągnąć za pomocą znacznie niższych stawek. Dodatkowe domiary dla bogatych cieszą się dużą popularnością wśród interwencjonistycznych dyletantów i demagogów, ale zapewniają jedynie niewielki wzrost wpływów do budżetu[1]. Z każdym dniem coraz bardziej oczywiste staje się to, że znaczne zwiększenie wydatków publicznych nie może być finansowane przez „drenowanie bogatych”, lecz musi obciążać masy. Tradycyjna polityka podatkowa epoki interwencjonizmu, tak zachwalane metody podatku progresywnego i wysokich wydatków, przybrała takie rozmiary, że nie sposób już ukryć jej absurdałności. Uporczywie utrzymywana zasada, że prywatne wydatki mają zależeć od wielkości osiągniętych dochodów, a publiczne dochody muszą być ustalane w zależności od wysokości wydatków, jest wewnętrznie sprzeczna. Rządy będą musiały pogodzić się z tym, że dolara nie da się wydać dwukrotnie, a różne pozycje w wydatkach państwa wykluczają się. Każdy cent zwiększający wydatki rządu trzeba będzie ściągnąć od tych, którzy do tej pory chcieli składać ciężar finansowania budżetu przede wszystkim na barki innych grup. Ci, którzy chcieliby

otrzymać subsydia, sami będą musieli zapłacić za nie rachunek. Deficyt powstający w przedsiębiorstwach państwowych i firmach zarządzanych przez państwo będzie musiała pokryć większość obywateli.

Stosunki między pracodawcą a pracobiorcą będą się rozwijały analogicznie. Rozpowszechniony jest pogląd, że „zdobycze socjalne” są finansowane kosztem niepochozących z pracy dochodów klas wyzyskujących. Twierdzi się, że strajkujący występują przeciw „dyrekcji”, a nie przeciw konsumentom. Nie ma powodu, by podnosić ceny produktów, gdy wzrastają koszty pracy. Podwyżkę płac muszą pokryć pracodawcy. Jednak w miarę jak coraz większa część środków należących do przedsiębiorców i kapitalistów zostaje przeznaczona na podatki, podwyżki płac i inne „zdobycze socjalne” pracowników oraz ceny maksymalne, środki te maleją do zera i nie mogą pełnić funkcji bufora. Wtedy staje się oczywiste, że każda podwyżka płac musi wpłynąć proporcjonalnie na ceny produktów, a zdobycze socjalne każdej grupy odpowiadają ściśle stratom w tej dziedzinie pozostałych grup. Każdy strajk, zarówno w krótkim okresie, jak i w długim, jest strajkiem przeciw reszcie społeczeństwa.

Zasadniczym założeniem filozofii społecznej interwencjonizmu jest to, że istnieje niewyczerpalny fundusz, z którego można czerpać w nieskończoność. System interwencjonizmu rozpada się, kiedy to źródło wyschnie. Zasada bogatego wujaszka doprowadza do jej samozaprzeczenia.

Koniec interwencjonizmu

Interwencjonistyczne interludium musi dobieć końca, gdyż interwencjonizm nie może prowadzić do trwałego systemu organizacji społeczeństwa. Wynika to z trzech przesłanek.

Po pierwsze, restrykcyjne metody zawsze ograniczają produkcję i zmniejszają ilość dostępnych dóbr konsumpcyjnych. Niezależnie od tego, jakie przytoczy się argumenty za wprowadzeniem określonych ograniczeń i zakazów, takimi

metodami nigdy nie stworzy się systemu społecznej produkcji.

Po drugie, wszelkie rodzaje ingerencji w zjawiska rynkowe nie tylko nie pozwalają osiągnąć celów zamierzonych przez ich autorów i zwolenników, lecz skutkują takim stanem rzeczy, który w ich ocenie jest mniej pożądanym niż dotychczasowy. Temu, kto uważa, że te nieskuteczne i absurdalne metody należy korygować mnożąc kolejne ingerencje, pozostaje posuwać się coraz dalej, aż do zupełnego zniszczenia gospodarki rynkowej i wprowadzenia socjalizmu.

Po trzecie, interwencjonizm ma na celu konfiskatę „nadwyżki”, która należy do jednych, i przekazanie jej innym. Z chwilą gdy ta nadwyżka zostanie wyczerpana wskutek całkowitej konfiskaty, kontynuacja tej polityki staje się niemożliwa.

Kraje, które nie przyjęły socjalizmu w pełnym, sowieckim wariantcie, wybierając drogę interwencjonizmu, zbliżają się coraz bardziej do tego, co nazywa się gospodarką planową, to znaczy do socjalizmu w wariantcie niemieckim bądź wariantcie Hindenburga. Co do polityki gospodarczej, to poszczególne kraje, a także partie i grupy nacisku działające w jednym państwie różnią się w tej materii nieznacznie. Historyczne nazwy partii straciły znaczenie. W sferze polityki gospodarczej zostały właściwie tylko dwie frakcje: zwolennicy leninowskiej metody całkowitej nacjonalizacji i interwencjoniści. Zwolennicy gospodarki wolnorynkowej mają niewielki wpływ na rozwój wypadków. To, że wolność gospodarcza wciąż istnieje, jest wynikiem nieskuteczności metod stosowanych przez rządy, a nie następstwem świadomej polityki.

Trudno jest ocenić, ilu zwolenników interwencjonizmu uświadamia sobie to, że jego metody prowadzą wprost do socjalizmu, a ilu jest wiernych iluzji, iż to, ku czemu zmierzają, jest systemem pośrednim, który może być trwałym „trzecim rozwiązaniem” problemu społecznej organizacji społeczeństwa. Nie ulega jednak wątpliwości, że wszyscy interwencjoniści są przekonani, iż rząd i tylko rząd jest

powołany do tego, by w każdym przypadku z osobna rozstrzygać, czy powinno się pozwolić na swobodny rozwój zdarzeń pod wpływem rynku, czy potrzebny jest akt ingerencji. Oznacza to, że są skłonni tolerować władztwo konsumentów jedynie dopóty, dopóki jego następstwa odpowiadają im samym. Gdy tylko w gospodarce wydarza się coś, co nie spodoba się którejś z wielu zbiurokratyzowanych instytucji lub wzbudzi gniew jakiejś grupy nacisku, ludzie głośno domagają się kolejnych ingerencji, regulacji i restrykcji. Gdyby nie to, że prawodawcy działają tak opieszale, a urzędnicy są często leniwi, nieudolni i skorumpowani, po gospodarce rynkowej od dawna nie byłoby ani śladu.

Niedościgniona efektywność kapitalizmu nigdy nie była tak widoczna, jak dziś, w epoce zjadłego antykapitalizmu. Podczas gdy rządy, partie polityczne i związki zawodowe sabotują wszelką działalność gospodarczą, duch przedsiębiorczości nadal przyczynia się do wzrostu ilości produktów, poprawy ich jakości, a także do ich większej dostępności. W państwach, które nie do końca odrzuciły system kapitalistyczny, zwykły człowiek żyje dziś na takim poziomie, którego pozazdrościliby mu książęta i bogacze z minionych epok. Jeszcze niedawno demagodzy potępiali kapitalizm za ubóstwo mas. Dziś coraz częściej oskarżają go o „obfitość”, którą zapewnia zwykłemu człowiekowi.

Jak pokazaliśmy, system menedżerski, to znaczy powierzanie pomocniczych zadań w prowadzeniu interesów osobom odpowiedzialnym i zlecanie im określonego zakresu decyzji, jest możliwy wyłącznie w systemie opartym na dążeniu do zysku[2]. Menedżer w granicach swoich obowiązków samodzielnie określa metody służące realizacji zasady zysku. Jest to cecha charakterystyczna menedżera jako takiego, decydująca o tym, że różni się on od technika. W systemie socjalistycznym, w którym nie istnieje kalkulacja ekonomiczna, rachunek kapitałowy ani rachunek zysków, nie ma też miejsca na działalność menedżerską. Dopóki jednak wspólnota socjalistyczna jest w

stanie prowadzić kalkulację na podstawie cen określonych na rynkach zagranicznych, dopóty może również do pewnego stopnia stosować quasi-menedżerską hierarchię.

Nazywanie jakiegoś okresu czasem przejściowym to mało przekonujący wybieg. W realnym świecie zawsze zachodzą zmiany. Każda epoka to epoka przejściowa. Możemy podzielić systemy społeczne na te, które są zdolne do przetrwania, i takie, które muszą być przejściowe, gdyż są autodestrukcyjne. Wykazaliśmy już, w jakim znaczeniu interwencjonizm prowadzi do własnej zagłady i musi przekształcić się w socjalizm w wariacie niemieckim. Niektóre państwa europejskie osiągnęły już to stadium, a nikt nie wie, czy podążą za nimi Stany Zjednoczone. Jak długo Stany Zjednoczone będą wierne gospodarce rynkowej i nie przyjmą systemu całkowitego sterowania gospodarką przez rząd, tak długo gospodarki państw Europy Zachodniej będą mogły nadal prowadzić kalkulację. W systemach gospodarczych panujących w Europie wciąż brakuje najważniejszej cechy właściwej systemowi socjalistycznemu; wciąż opierają się one na kalkulacji ekonomicznej. Z tego powodu zarządzanie tymi systemami pod każdym względem różni się zdecydowanie od tego, czym stałoby się, gdyby na całym świecie zapanował socjalizm.

Często mówi się, że niemożliwe jest, by połowa świata stosowała się do zasad gospodarki rynkowej, a druga połowa była socjalistyczna, i vice versa. Nie ma jednak podstaw, by zakładać, że taki podział świata i koegzystencja dwóch systemów są niemożliwe. Skoro zaś są możliwe, to obecny system gospodarczy krajów, które odeszły od kapitalizmu, może utrzymywać się w nieskończoność. Może on doprowadzić tamtejsze społeczeństwa do rozpadu, chaosu i nędzy. Jednak niski poziom życia ani postępująca pauperyzacja nie skutkują automatyczną likwidacją określonego systemu gospodarczego. Ustępuje on miejsca efektywniejszemu systemowi dopiero wtedy, gdy sami ludzie są dość inteligentni, by zrozumieć korzyści, jakie może im przynieść taka zmiana. Może też zostać zniszczony przez

zewnętrznych najeźdźców wyposażonych w lepszy sprzęt wojskowy wyprodukowany dzięki większej efektywności ich własnego systemu gospodarczego.

Optymiści mają nadzieję, że przynajmniej te kraje, w których w przeszłości rozwinęła się kapitalistyczna gospodarka rynkowa i związana z nią cywilizacja, utrzymają ten system w przyszłości. Niewątpliwie równie dużo przemawia za tym, że takie oczekiwania są realne, jak i przeciw temu. Nie ma sensu spekulować na temat rezultatu wielkiego konfliktu ideologicznego między zasadami prywatnej własności i publicznej własności, indywidualizmu i totalitaryzmu, wolności i autorytarnej reglamentacji. Wszystko, co da się powiedzieć już teraz na temat rezultatu tej walki, można streścić w trzech punktach:

1. Nie wiemy nic o istnieniu i działaniu sił zapewniających w tym starciu ostateczne zwycięstwo tym ideologiom, których zastosowanie umożliwiłoby utrzymanie i zacieśnienie więzi społecznych oraz poprawę dobrobytu materialnego ludzkości. Nic nie wskazuje na to, by dążenie do lepszych warunków było procesem nieuchronnym, a powrót do warunków zdecydowanie niezadowolających był niemożliwy.

2. Ludzie muszą wybrać między gospodarką rynkową a socjalizmem. Nie mogą uniknąć tej decyzji, opowiadając się za „trzecią drogą”, niezależnie od tego, jaką nazwę nadadzą owej drodze.

3. Porzucenie kalkulacji ekonomicznej, które wiąże się z powszechną akceptacją socjalizmu, doprowadzi do całkowitego chaosu i rozpadu współdziałania społecznego w systemie podziału pracy.

Autor: Ludwig von Mises

Zdjęcie: [stevepb](#) (CC0)

Fragment książki „Ludzkie działanie. Traktat o ekonomii”

Źródło: [Mises.pl](#)

Przypisy

[1] W Stanach Zjednoczonych zgodnie z ustawą z 1942 r. stawka domiaru wynosiła 52 procent dochodu podlegającego opodatkowaniu w przedziale 22 000–26 000 dolarów. Gdyby domiar zatrzymano na tym poziomie, wpływy z podatków w 1942 r. byłyby mniejsze o 249 milionów dolarów, stanowiąc 2,8 procent wszystkich indywidualnych podatków dochodowych ściągniętych w tamtym roku. W tym samym roku łączne dochody w przedziale powyżej 10 000 dolarów wyniosły 8912 milionów dolarów. Całkowita konfiskata tych dochodów nie przyniosłaby takich wpływów do budżetu, jakie osiągnięto z wszystkich dochodów podlegających opodatkowaniu w tym roku, czyli 9046 milionów. Zob. A Tax Program for a Solvent America, Committee on Postwar Tax Policy, New York 1945, s. 116–117, 120.

[2] Zob. s. 263–266.